

ROBERT HICHENS.

Bella Donna

Tłumaczenie z angielskiego Marii Starczewskiej.

TOM I

28

Jej dzisiejszy namiętny wybuch pozostawił ślady na twarzy, na której znać było pewną ostrość i suchość, jakby mięśnie straciły swą elastyczność. Jak wychodziła z sypialni, Marie, wykrzyknęła z rodzajem niechętnego podziwu: *Madame est exquise ce soir*. Zapytywała się, czy to prawda? a ponieważ głosy zwolna się oddalały zbliżyła się do lustra, szukając w nim odpowiedzi.

Wybrała suknię spacerową, zamiast *tee-gowu*, myślała, że wyda się w niej młodszą, gdyż wspaniała jej figura była jednym z największych jej powabów. Tak, figura była wspaniałą i suknią doskonale ją uwydatniała. Ciche, jednostajne życie, które prowadziła w Londynie, od kiedy poznała Nigla, na następnie spokojny pobyt w cudownym klimacie Egiptu, doskonale wpłynęły na jej powierzchowność. Pomimo śladów, pozostawionych przez nieopatrny wybuch gniewu, wyglądała stanowczo o wiele młodziej, niż w konsultacyjnym gabinecie Iseacsona. Zmarszczki koło oczu były prawie niewidoczne i od całej postaci biła jasność.

Ludzie wschodni kochają się w białej cerze i jasnych włosach córek północy i sądzą je być o wiele młodsze, niż ich wiek rzeczywisty.

Marie nie bardzo się myliła.

Zwróciła się, żeby wyjść na taras.

— Ah! Mahmond-Barondi! — rzekła z obojętnością, pełną wdzięku, kiedy obaj mężczyźni podeszli, żeby się z nią przywitać. — A zatem pan płynie w górę rzeki w swych interesach — zdaje się cukrowych.

— Cukrowych, tak madame — odrzekł poważnie, pochylając się nad jej ręką: mam nadzieję, że pani mi wybaczy, że ją nachodzę. Mąż pani bardzo uprzejmie nalegał, żebym przyszedł — w flanelowym ubraniu.

Jego tłumaczenie było bardzo spokojne, lecz Nigel wyglądał trochę podniecony, trochę zaniepokojony, błagając oczami o przebaczenie za ranny smutek. Nie była skłonna je już udzielić. Była słodka, lecz unikała jego spojrzenia. Przeszli się trochę, prowadząc lekką rozmowę o wszystkim i o niczym. Wtem zwróciła się po raz pierwszy tego wieczora do męża:

— Nigel, może byś poszedł uprzedzić Hasana i kucharza, że będziemy troje przy obiedzie. Lepiej się z nimi porozumiesz po arabsku, niż ja po angielsku. Mahmond Barondi i ja czekamy na twój powrót na tarasie.

— Nasz słusność — odrzekł.

I wyszedł natychmiast, zostawiając ich razem.

Po jego odejściu Mrs. Armine usiadła; przez chwilę milczała. Twarz jej się zmieniła, prawie niedbała naturalność i prostota uległy miejsca żywej i pełnej światowej kobiecie. Nawet całe jej ciało zdawało się zmieniać, stawać się wrażliwszym, pod wzrokiem Barondiego i cała jej kobiecość, do tej pory spokojna, nagle śmiało powstała, by zwrócić na siebie uwagę tego mężczyzny, który opodal od niej siedział i patrzył na nią ze wschodnim spokojem.

Pomimo, że rozmawiali ze sobą na stałku, to było ich pierwsze *tête-à-tête*.

Tego wieczora oczy Mrs. Armine mówiły Barondiemu wyraźnie, że się jej podoba więcej jeszcze, że chce, żeby o tem wiedział; a on to przyjmował i odwzajemniał się. Zmiana, która w niej zaszła, wywołała zmianę i w nim. Wyraz otwartej stanowczości na jego twarzy, który pociągnął Nigla na okęcie, połączył się teraz z czemś ostrym, niemiłosiernym, co ona rozumiała i ocenila. Patrzając na niego w zapadającym mroku nocy, zdawała sobie jasno sprawę, że, bezwzględnie, oprócz innych towarzyszy, mieszka w nim rozbójnik, nie znający trwogi ni litości. I porównała tego rozbójnika z Niglem.

— Jak pani znajduje Egipt, madame? Czy moja ojczyzna się podoba?

Pochylił się trochę naprzód i ten ruch zwrócił jej uwagę na jego szerokie, potężne ramiona, na śmiało osadzoną głowę.

— Czy pani już zwiedziła wszystkie ciekawości Teb i Karnaku?

— Tak, byliśmy zupełnie poprawnymi tury-

stami. Widzieliśmy Kolos, groby, świątynie. Jedliśmy obiad przy księżycu, u stóp Pylonu w Karnaku. Widzieliśmy zachód słońca z Deir-al Behari.

— A wschód słońca?

— Znikąd. Wolę spać z rana.

— Czy panią zajmują te wszystkie groby, świątynie, mumie, madame? Czy pani się podoba jej życie w Egipcie?

Zatrzymała się przed odpowiedzią. Lubiała i sprawiała jej przyjemność wycieczki z Niglem w radosnym i cudownym klimacie Luksoru, improwizowane śniadania na wolnym powietrzu, albo wśród murów wspaniałych ruin; przejażdżki po brunatnych ścieżkach między zielonemi, pokrytymi falującym zbożem polami, na których śpiewały skowronki, a lecące dzikie gołębie tworzyły jedyną chmurę, na złotem i błękitnem niebie; wspinanie się po górach, gdzie słońce założyło swe panowanie od początku świata; powrót do domu, kiedy dzień się kończył, a fellahowie wracali do wsi pod czarnym aksamitem drzew palmowych i pył wzniecony i stopami wznosił się w złotem prawie powietrzu. Podobał się jej obiad w Karnaku, przy świetle księżyca. Posiadała zdolność odczuwania przyjemności i fizyczną energię przeciętnej angielskiej, która czuje się jak u siebie na wolnym powietrzu; Egipt był dla niej zupełną nowością, przynoszącą zdrowie i uczucie młodości. A jednak zatrzymała się z odpowiedzią. W ostatnich czasach miała wrażenie tryumfu.

Udał się jej „coup“, który uczyniła w chwili, kiedy jej życie zdawało się zapadać w szarość, udało się jej wymierzyć policzek towarzysztwu, które ją odrzuciło od siebie. Powodzenie opromieniało jej życie. I nagle, niespodziewanie poznała, że żyła w złudnym raju, do którego ją wprowadził Nigel. Ta świadomość, jak wielka, czarna zasłona spadła na cały czas spędzony w Egipcie, zaćmiewając jego słoneczność, jasność i wesele.

— Owszem — rzekła — a pan, czy dba o to wszystko?

Wzruszył ramionami.

— Madame, nie jestem turystą. Co ja bym robił w świątyniach między nietoperzami i w grobach, gdzie panuje wciś śmierć? Nie powinna się pani zwracać z tem do Egipcjan. Trzeba iść do angielskich starych panien, które noszą hełmy na swych siwych włosach tak ułożonych — swemi brunatnemi rękami starał się przedstawić ciasny węzelek, który przyłożył do tyłu głowy i gładzą po głowie swych dragomenów. którzy siedzą u ich stóp, opowiadając im tysiące kłamstw. Albo trzeba pójść do antykwaryuszów z czerwonymi nosami i łysymi głowami, którzy wygrzebuja mumie, podczas gdy ich żony — ale, nie powinienem o tem mówić! Lecz czy my, Egipcjanie, mamy co innego do czynienia, niż przypatrywanie się Stinksowi. Zawsześmy go widzieli. Wiemy, że jest tutaj, i że nie ucieknie. A zatem, wolimy uprzyjemnić sobie życie póki możemy i nie troszczyć się o resztę. Czy pani bierze nam to za złe?

— Nie — rzekła. — Niemam za złe nikomu, że uprzyjemnia sobie życie.

W jego spojrzeniu, a nawet w całym zachowaniu było coś, co zakrawało na ledwie tajoną zuchwałość. W Europejczyku, byłaby ją, prawdopodobnie obraziła.

W Berondim nie tylko jej nie obrażała, ale nawet pociągała, gdyż, zdawało się, że zuchwałość leży w jego wielkiej sile, śmiałości i pięknej, rzucającej się w oczy powierzchowności, w jego wschodniej krwi. Taki człowiek musiał często czuć się zuchwałym, jakkolwiek starannieby to ukrywał. Dlaczego nie miałby jej pokazać kilku nek prawdy o sobie?

— Jakikolwiek byłby rodzaj uprzyjemnienia życia, madame? — rzekł.

Pochylił się wciąż trochę naprzód, przyłożył rękę do twarzy, spuścił ją na wspaniałą szyję i ukrył palce pod miękkimi, wykładanymi kołnierzyk, patrząc jej w oczy.

— Tego nie mówię.

— Czy pani bardzoby dbała, jaką drogą toby przyszło, gdyby dawało zadowolenie?

— A pan?

— Ja! Z pewnością nie. Lecz ja nie jestem Mrs. Armine.

— Mrs. Armine? — rzekła — a cóż on?

— Czy onby nie myślał, że są rzeczy, które czynić trzeba i rzeczy, których czynić nie można? Wszyscy anglicy są tacy; do licha, jeżeli uczyni rzecz, którą oni uważają za złą!

Zdjął rękę z szyi, podniósł ją, następnie spuścił na kolana.

— Słowo daję — dodał z uśmiechem, stając się wciąż patrząc w jej oczy. — To gorzej, niż dla Egipcjana jeść wieprzowinę, w biały dzień w czasie Ramadanu.

— Pan nie lubi Anglików?

— Co mam na to powiedzieć?

— Prawdę.

— Jeżeli to angielskie panie, myślę, że są śliczne.

— A mężczyźni?

— Oh! oni są — dobrzy towarzysze.

Ostatnie dwa słowa wymówił na wpół pogardliwie śmiejącym się tonem.

— Lecz cóż to oznacza?

— Wspaniałe okazy madame!

Wyprostował się.

— Rozbił, plum-pudding, zwierznicy!

— Proszę się nie śmiać z moich współziomków.

— Śmiać się — nigdy! Lecz — czy mogę się uśmiechać, choćby tylko kącikiem?

Ukazał rząd białych zębów, dość silnych, by przegryść pręt żelazny.

— Anglik rządzi nami w Egipcie. Mówi, że to my rządzimy, lecz władzę zatrzymują przy sobie. A rządzić nami, pomiatać nami, madame. Myśli, że jesteśmy głupimi dziećmi. Lecz czasem, my, uśmiechamy się do niego, chociaż, naturalnie on nigdy nie uśmiecha się do nas, z obawy, że moglibyśmy pomyśleć, że nie jesteśmy bardzo niżej od niego. To bardzo złe, z naszej strony, jednak Allah pozwala nam się uśmiechać. A wtedy — znowu pochylił się naprzód i krzesło jego zaskrzypiało w ciemności — bywają angielskie, które lubią jak się uśmiechamy, bywają nawet takie, które się uśmiechają razem z nami, poza plecami anglika.

Mówił spokojnie, z pewną subtelnią ironią, ale bez cienia gorzkości, a przy ostatnich wyrazach zniżył trochę głos.

— Czy to bardzo złe z ich strony, madame? Jak pani znajduje? czy pani je potępia?

Nie odpowiedziała, lecz jej malowane wargi drgnęły, jakby chciała powstrzymać uśmiech, a nie mogła.

— Jeżeli się uśmiechają, jeżeli się uśmiechają — czy to nie wstyd madame?

Uśmiechał się jej w oczy.

— To wielki wstyd — rzekła — gardzę kobietami, które zwodzą.

— A jednak, kto nie zwodzi? Każdy z wyjątkiem dobrych towarzyszy.

Pochylił głowę i śmiał się, a ona patrzyła na jego wspaniałą szyję.

— Pan nigdy tak nie rozmawiał na Hohenzollernie — rzekła.

— Madame, nie byliśmy nigdy sami. Jak mogłem w ten sposób rozmawiać? Nie byłbym właściwie zrozumianym?

Nie tylko w jego oczach, ale także w przyznaniu się do pewnego koleżeństwa i sympatii, z których Nigel i ludzie jemu podobni byli wykluczeni, były wyzwaniem dla Mrs. Armine, rękawiczką rzuconą jej w twarz. Czy czułaby tę zniewagę wczoraj? Nie mogła odpowiedzieć. Dzisiaj gotowa była się sprzymierzyć, gdyż dzisiaj nienawidziła prawie Nigla. Pominawszy nawet jej żal do Nigla, Barondi wywarł na niej silne wrażenie. Czula, widziała w nim zamiłowanie do rozboju — a ona czy nie była rozbójnikiem? Kilku zrujnowanych mężczyzn mogło na to odpowiedzieć. A w tym człowieku był wielki podkład siły i energii. Mrs. Armine była kobietą zdecydowaną, jak to Meyer Iseacson odgadł, czula, że przy niej był teraz ktoś jeszcze więcej zdecydowany, wytrwalszy, a tak samo subtelny i chłodny. Pomimo, że był mężczyzną Wschodu, a ona kobietą Zachodu, jak mogli nie zrozumieć wzajemnie swych charakterów? A co do niego — ludzie wschodni są błędnymi w odczytywaniu myśli, jeżeli nie duszy.

Doznała uczucia wielkiego ukojenia, jak gdyby wieczorem został przyłożony balsam na ranę zadaną z rana.

„Rubyl“

Barondi oparł się zwolna o poręcz krzesła, wyglądał spokojny, silny i praktyczny.

— Czy wszystko w porządku co do obiadu, Nigiel?

— Mam nadzieję — rzekł — lecz niech Barondi się nie spodziewa, że mamy takiego kucharza, jaki jest u niego.

— Zostawie panów na chwilę — rzekła, wstając — obiad jest o kwadrans na dziewiątą.

(Ciąg dalszy nastąpi.)